

Dziewczyna ze spadochronem

Pamięta Pani swój pierwszy skok?

Oczywiście. Pierwszy był w 1953 roku. A na obozie kadry w Poznaniu w 56 skakaliśmy z trzech tysięcy metrów z 60-sekundowym opóźnieniem. Wygląda to tak, że spada się bez otwarcia spadochronu przez minutę.

Ta minuta to pewnie cała wieczność.

O, tak. Ale jest przyjemnie. Wyskakując z samolotu włączamy stoper, który mamy na lewej dłoni i lecąc sprawdzamy czas, żeby po 60 sekundach otworzyć spadochron. Wypada to gdzieś na wysokości sześciuset metrów nad ziemią. Jest śmiesznie, bo każdy ruch ręką obraca człowieka dookoła osi, bo leci się z dużą szybkością - 50 metrów na sekundę, a struga powietrza jest bardzo silna. Lataliśmy wtedy na samolotach typu AN, dużych, tzw. antkach. Tam, w górze jest trochę strachu, ale to fajne przeżycie. Spada się jak żaba, w pozycji płaskiej. Oby się tylko pod skrzydła nie dostać. Jest adrenalina, jest.

A ziemia jak dywanik.

Bardzo przyjazna. Bezpieczna. Bo daleko. I zdaje się, że taka miękka, przytulna. Wygląda o wiele lepiej niż podczas skoku z wieży spadochronowej - tam ziemia jest bliska i twarda.

Skąd, Pani Profesor, te skoki. Nie było innych sportów?

Chciałam zajmować się lotnictwem, ale ponieważ byłam niebłagonadiożna (nie rokująca na przyszłość - przyp. red.), bo miałam ojca za granicą, więc nie chcieli mnie przyjąć do Ligi Lotniczej. Kiedy miałam przymusową przerwę w studiach, z konieczności, żeby pomóc mamie w utrzymaniu domu, zaczęłam uczyć w szkole u urszulanek. Tam opiekowałam się szkolnym kołem ligi. Pewnego razu pojechałam z młodzieżą na lotnisko do Radawca. Wiadomo: byłam młoda, więc to wzięcie się miało, no i szef aeroklubu Zbigniew Bochyński pyta mnie, czy bym nie chciała latać. Ja na to: Chciałabym, ale mnie nie chcą. Dzięki temu dobremu człowiekowi pojechałam jednak na badania, ale ponieważ jestem małego wzrostu, skierowali mnie na skoki spadochronowe. Na otarcie łez zostałam spadochroniarką. Bardzo mi to odpowiadało. A kiedy ja skakałam, mój mąż, pilot, wychodził z lotniska. Tak się bał.

Lotnisko Was połączyło?

Spotkaliśmy się gdzieś w 1953 roku w Radawcu. Mąż Leopold Tadeusz pracował wówczas jako synoptyk na lotnisku na Okęciu. Do Lublina przyjeżdżał, żeby sobie polatać na szybowcach i samolotach. Pamiętam, siedzimy kiedyś przed skokami na starcie, a on - był taki dowcipny, zupełnie jak mój wnuczek - mówi do mnie: Kochasz mnie jeszcze, piękna dziewczyno? Myślę sobie: Idiota! I to było nasze zapoznanie. Wcześniej znaliśmy się z widzenia, a tu nagle masz! Za jakiś czas przyszli do mnie we dwóch: Leopold i taki nasz kolega. Mówią, że będą się oświadczać. Ja na to: No dobrze, kto wręczy mi kwiat, tego wybiorę. A mój mąż złapał doniczkę z parapetu i tym sposobem wykolegował kolegę. Po ślubie przeniósł się do Lublina, pracował jako synoptyk w Świdniku. Zrobił doktorat z ekonomii. Mnóstwo czasu my, młodzi, spędzaliśmy na lotnisku. Spotykaliśmy się na wieży spadochronowej, przy dzisiejszej ulicy Spadochroniarzy na herbatkę, potem całą wiarą szliśmy do kina, na tańce. Lotnicy to ludzie, którzy bardzo się ze sobą zżywają. Był w naszej paczce lekarz, ksiądz, prawnik... Mam kilku kolegów, z którymi do dziś spotykam się w Klubie Seniora Lotnictwa. Zostałam tam sama z chłopakami. Najstarszy ma 92 lata. Irka Raże, słynna pilotka szybowcowa, poszła, niestety, ostatnio na chmurkę.

Ktoś powiedział, że jest Pani najlepszym spadochroniarzem wśród profesorów i najlepszym profesorem wśród spadochroniarzy.

Śmieję się z tego. Moja przygoda nie trwała jednak długo. Kiedyś miałam skakać razem z kolegą. Mąż w tym czasie pojechał z felczerem karetką na miejsce lądowania. Ja skoczyłam szczęśliwie, kolega się zabił. Spadł mężowi prosto pod nogi. Wtedy powiedział mi: Albo ja, albo spadochroniarstwo. Wybrałam jego. Była już wtedy na świecie nasza córka Dorotka, poza tym kochałam go, co tu dużo mówić. To już jedenaście lat, jak nie żyje. Leży w kwaterze synów pułku, jako szaroszeregowiec. Jak go odwiedzam, to mu tam zawsze przy okazji kawałek kazania powiem. Że się tak szybko zabrał. Ślub też pamiętam. Bardzo ładny był. W roku 1957, w kościele u oo. Bernardynów. Miałam nową, jasnoperłową garsonkę, przywiozłam ją z Holandii. Ślub dawał nam zaprzyjaźniony z nami ksiądz Pilcherm. Kiedy głosił kazanie, nad kościołem latał samolot. Mówił serdecznie i długo, więc goście się niecierpliwicko, no i benzyny było szkoda... Wychodzimy po ślubie, a tu z samolotu leci wiązanka kwiatów. Na pogrzebie męża, w czasie pożegnania też przyleciał samolot, zakreślił na niebie krzyż, pomachał skrzydłami, cześć - cześć, i poleciał. Wszyscy płakali jak bobry. Warto dobrze żyć, żeby tak pięknie odchodzić.

Jest Pani rodowitą lublinianką?

Urodziłam się w Grodnie, nad najpiękniejszą rzeką na świecie, Niemnem. Mój ojciec pracował w monopolu tytoniowym. Przed wojną był bardzo mądry zwyczaj, że jak człowiek awansował, to go przenosili do innego miasta. Żeby nie było kumoterstwa. Ojca przenieśli z Krakowa do Lublina, bo awansował na wiceszefa monopolu lubelskiego. To było w 1937 roku. Jako dzieci byliśmy z tej przeprowadzki bardzo zadowoleni, bo kiedy rodzice szukali stałego lokum, mieszkaliśmy w eleganckim hotelu Europa. Każde z nas, dzieci rodziło się gdzie indziej: jeden brat w Słonimie,

drugi w Krakowie...

Proszę opowiedzieć o swoim ojcu. Miała Pani z jego powodu kłopoty?

Pamiętam, jak w końcu sierpnia odwieźliśmy ojca dorożką do VIII pułku. Jego szefem był generał Smorawiński. We wrześniu, po ostatnim bombardowaniu, generał zwolnił ojca na noc do domu, żeby się z nami pożegnał. Ale kiedy wrócił do koszar, żołnierzy już nie było. Ojciec ruszył wtedy z resztą wojska na Węgry. Może i dobrze, że nie dogonili generała, bo tamci trafili przecież do Katynia. Z Węgier przez Włochy ojciec dostał się do Anglii, brał udział w desancie na Arnheim. Holenderzy dali mu obywatelstwo honorowe. I tam już został.

Nie chciał wracać po wojnie do Polski?

Bał się. Bał się aresztowania. Jako młody chłopak uciekł do legionów, potem nie mógł wrócić do rodzinnego majątku pod Kownem. A po latach znowu ten Zachód... Jednym słowem: zły życiorys. Tuż po wojnie chciał nas sprowadzić do Holandii. Łączeniem rodzin zajmował się wówczas biskup Sapieha. Działał przy pomocy organizacji IMCA. Tą drogą ojciec chciał nas przemycić za granicę. Właśnie tak Niemcy wyjeżdżali z Polski. Nosiliśmy jego nazwisko Szteyn, i pewnie miało to jakieś znaczenie w tej sprawie. Ale mama powiedziała, że starych drzew się nie przesadza. Koszt tej decyzji był wielki: musiała utrzymać całą naszą trójkę. I wychowała nas dobrze, wszyscy pokończyliśmy studia. Umarła w 1954 roku. Tata pisał do nas listy, przysyłał paczki. Nawet w czasie wojny od pewnej firmy z Lizbony dostawaliśmy artykuły delikatesowe: sardynki, kawę, kakao, herbatę. Mama sprzedawała je restauracjom, żebyśmy mogli jakoś żyć. Po wojnie nie mogłam mówić, że mam ojca za granicą. Odpowiadałam, że zaginął. Bardzo mi go brakowało, byłam przecież córką tatunia. Mama też tęskniła, ale cóż... Nie chciała opuszczać Polski.

Nie najlepszy życiorys jak na tamte czasy.

No tak. Po pierwsze: te urszulanki. Musiałyśmy zdawać egzaminy na maturze ze wszystkich przedmiotów, za karę, bo nie było w szkole ZMP. Po drugie: ojciec, który zaginął za granicą. I jeszcze moje pochodzenie: inteligencja pracująca. Ale wszędzie byli uczciwi ludzie. Moim patronem okazał się prof. Włodzimierz Hubicki. Pamiętam, jak na egzaminie wstępnym na chemię jeden z egzaminatorów pyta mnie, dlaczego nie należę do ZMP. Ja durna: Bo mam inne przekonania. Wybiega za mną prof. Hubicki: Dziecko, ty wiesz, co mówisz?! No i skandal. Tylko dzięki profesorowi dostałam się na uczelnię. Potem też były kłopoty. Nie mogłam od razu przejść na drugi stopień studiów. A kiedy profesor Hubicki chciał mnie zatrudnić na etat stażowy, pani w kadrach syknęła, że dla mnie, absolwentki urszulanek, nie ma miejsca w kadrze naukowej. Odpaliłam: Tak, ale uczyłam się tam z pani córką! Ostatecznie zostałam zatrudniona na etacie laborantki. Pracowałam z panem Franciszkiem, który miał trzy klasy. Furmanką na gumowych kołach jeździłam po odczynnikach. Za jakiś czas profesor Hubicki znów mówi: Przeczekajmy to, niedługo przejdiesz na asystenturę. I doczekałam się - asystentury, profesury... Profesor zostawił mi w spadku swój zakład.

A Pani dzieliła się z innymi.

Wydoktoryzowałam piętnaście osób, siedem z mego zakładu zrobiło habilitację. Pomagam, bo mnie kiedyś pomogli.

Do dziś chodzi Pani codziennie na uczelnię, mimo emerytury.

Wnuczek mówi: Babciu, jak przestaniesz chodzić na uczelnię, zabiorę cię na dyskotekę. Ale jeszcze nie poszliśmy.

A skoczyłaby Pani jeszcze raz ze spadochronem, jak za dawnych lat?

Oczywiście! Tylko że córka nie chce słyszeć. Jeszcze się połamiesz, mówi. Szkoda. W górze człowiek jest wolny jak ptak.